

Księga wyjścia – 51

30 kwietnia 2020

Ballada o walce klas, socjalizmie i przeciętnym Polaku

Od pierwszego maja 1890 roku obchodzono w Polsce Święto Pracy. Była to demonstracja sprzeciwu i pokaz solidarności z robotnikami, których zmasakrowała policja w USA cztery lata wcześniej (1886 roku). Z rąk przedstawicieli prawa zginęło wówczas kilkaset osób.



Do tej pory nie jest znana liczba ofiar, pomimo tego, że demonstracja była pokojowa, policja otworzyła ogień. W chaosie doszło do tego, że policjanci strzelali nawet do siebie nawzajem. Wydarzenie przeszło do historii pod nazwą Haymarket Riot.

Pochody w Polsce również nie zawsze były spokojne, wielokrotnie uczestnicy narażali życie i zdrowie, by przejść z czerwonymi sztandarami ulicami stolicy.

Początkowo demonstracje te ścierały się z carskim wojskiem,

policją czy mało subtelnyimi kozakami. W II RP te pokojowe manifestacje zamieniały się w krwawe jatki. Uczestników atakowały prawicowe, nacjonalistyczne bojówki oraz policja. Dochodziło do bardzo brutalnych starć. Wtedy również wielu uczestników poświęciło swoje życie.

Tylko raz w dwudziestoleciu między wojennym nie było pochodu. Pierwszego maja 1939 roku. Faszyzm wisiał nad Europą i tylko lewica to widziała. Reszta świetnie się bawiła w oparach egzaltowanej dekadencji pod protekcją ważnego generała na koniu, co jakiś czas bełkocząc o jakiś guzikach, których komuś nie oddadzą.

Wojna przerwała ten czerwony marsz. Ale wreszcie po ośmiu latach przerwy w 1947 roku powrócono do tradycji. Nawet podczas stanu wojennego organizowano tego dnia demonstracje. Zarówno legalne, jak i nielegalne.

Jeszcze nie tak dawno, bo w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, pochody te nie były do końca bezpieczne, a wręcz niekiedy bardzo ryzykowne. Czasami udało się przejść bez szwanku, czasami nie.

Bywało, że w stronę maszerujących leciały zepsute warzywa, pomidory jabłka, ale również kamienie. Pamiętam gdy grupa nacjonalistów z Ligi Republikańskiej, rzucała w maszerujących czym popadło. Nie patrzyli czy idzie ktoś z dzieckiem z wózkiem, czy trafią kogoś w podeszłym wieku, a między nimi kręcił się niepozorny, mały człowieczek, ich przywódca – Mariusz Kamiński. Tak, ten sam którego PiS namaścił na szefa służb specjalnych.

Doskonale pamiętam te pochody. Kilka tysięcy ludzi z czerwonymi sztandarami na ulicach Warszawy. Niewiele organizacji nadal kultywuje tę tradycję, większość wybrała wygodną i bezpieczną formę pikniku. Czyli kiełbaska i piwo. Na szczęście jeszcze w tamtym roku kilkaset czerwonych sztandarów ruszyło trasą pochodu.

Teraz po siedemdziesięciu trzech latach nieprzerwanej tradycji, wygląda na to, że przyjdzie powiesić sztandar na haczyku. Tym razem ulice będą świeciły pustkami, ale to nie polityka, lecz pandemia powstrzymała ludzi przed organizacją święta w takiej formie.

Z tym w pełni się zgadzę, można ryzykować własnym zdrowiem i życiem, ale nie możemy narażać innych. Zamieniły się czasy i zmieniły realia, nadal jest jednak klasa robotnicza, trochę inna, ale jest. A najgorsze jest to, że ludzie którzy są jej przedstawicielami często nawet nie zdają sobie z tego sprawy i walczą o prawa kapitalistów, przedsiębiorców, bo im wmówiono, że na tym polega wolność. Podczas pandemii rozmawiałem z koleżanką, zarabiała świetnie, ale z dnia na dzień straciła pracę. Umowa śmieciowa, więc żadnych osłon ani zabezpieczeń. Powiedziała mi coś takiego: „można mieszkać w pałacu i umrzeć z głodu”. Musimy sobie uświadomić, że robotnik, to już nie tylko pracownik stojący przy maszynie, czy górnik wyjeżdżający z kopalni. To także naukowiec, nauczyciel, aktor, dziennikarz, czy nawet policjant. Współczesny robotnik, to każdy człowiek pracy najemnej.

Być może obecna pandemia otworzy niektórym oczy, zwłaszcza tym, którzy twierdzili, że są niezależni, a umowa śmieciowa jest fajna, bo można obejść jakieś opłaty, nazywali to nawet takim eufemizmem „elastyczna forma zatrudnienia”. Teraz okazało się, że z dnia na dzień zostali bez środków do życia. Ci, którzy mieli etaty mogą starać się o przestojowe, a ochroniarze, sprzątaczkę, i ci wszyscy, których zmuszono do samozatrudnienia albo podsunęto lipną umowę, zostali bez grosza. Nawet jeśli chwilę wcześniej zarabiali roczną pensję sprzątaczkę, część zżarł poziom życia, część kredyty i została ręka w nocniku.

Żeby lepiej uzmysłowić w którym miejscu drabiny społecznej jesteśmy jakiś czas temu przygotowałem pewną teorię. Zanim zaczniesz krzyczeć drogi czytelniku, że nie masz z tym nic wspólnego, wprowadźcie nie jesteś miliarderem, ale nie jesteś

robotnikiem, przeczytaj uważnie poniższy fragment i przemyśl czy walka klas na pewno Ciebie nie dotyczy?

Prawdziwa wolność zaczyna się tam, gdzie kończy się strach o byt i bezpieczeństwo ekonomiczne. Pamiętacie Piramidę Masłowa? To hierarchia potrzeb rozrysowana w formie stożka. Na dole są potrzeby fizjologiczne, wyżej bezpieczeństwa, potem akceptacji – przynależności, uznania i wreszcie samorealizacji. Bardzo niewielu jest w stanie zrealizować potrzebę samorealizacji, w momencie, gdy nie zaspokoi najniższych szczebli, a zwłaszcza usytuowanej u samej podstawy, potrzeby jedzenia, picia czy snu.

Potrzebuje też poczucia bezpieczeństwa znajdującego się ciut wyżej w tym prostym kurhanie. I tak po kolei. Dopiero na samym szczycie możemy pokusić się o akceptację, uznanie i realizować marzenia, plany czy pasje. Z wolnością jest podobnie. Mamią nas tym iluzorycznym hasłem, mówią że wywalczyliśmy ją sobie obalając PRL. Mówią, że można bez żadnych konsekwencji głosić swoje poglądy i wyznawać dowolną religię. Niepewność jutra i pusta lodówka skutecznie jednak to wykluczają, skazują na dopasowanie swoich poglądów, przekonań i wyznania, do poglądów, przekonań i wyznania tych, od których jesteśmy zależni. ergo – współczesny system wymusza byśmy wyrzekli się swoich wartości. Nie ma prawdziwej wolności bez pełnej ekonomicznej niezależności.

To jest baza – bez której nie da się osiągnąć wolności słowa, wyznania czy przekonań. Zależność pracownika, od przełożonych, niepewność jutra, strach o podstawowe potrzeby życiowe, zmusza podwładnych, by głosili poglądy zgodne z poglądami tych, od których jesteśmy zależni materialnie. Znam przypadki, gdy osoba niewierząca, pracując w państwowej firmie, ze strachu przed utratą pracy zaczęła chodzić do kościoła. I to nie tylko w niedzielę. Ponieważ jej szef odwiedzał świątynię każdego dnia, podlegli mu pracownicy, chcąc nie chcąc, również chodzili na mszę o tej godzinie. Koleżanka zdjęła ze ściany portret Che Guevary, gdy spodziewała się wizyty swoich

współpracowników, a obrazek ten byłby przyczyną kłopotów zawodowych.

Nieoficjalną, bo merytoryczny powód zawsze się znajdzie. Dostałem od niej ten portret, do dzisiaj wisi na mojej ścianie. Mnie już nic nie grozi, polski rynek pracy w moim zawodzie jest już i tak dla mnie spalony – zgodnie z powiedzeniem – „ja się nie boję, ja mam raka”. Reasumując – wolność, wywalczona przez społeczny zryw dawnej Solidarności, ograniczyła wolność wypowiedzi do tych akceptowanych w środowisku zawodowym, zgodnym z poglądami tych, którzy płacą i zatrudniają.

Rezygnujemy z własnych przekonań i opinii, na rzecz poglądów i opinii przełożonego, dostosowując je do przekonań kierownika, dyrektora czy prezesa. Zdarza się, że przyjmujemy – początkowo w deklaracjach – wyznanie religijne pracodawcy. Z czasem, mimo że wymuszone, stają się one również i naszym wyznaniem, naszą religią. I, nawet nie wiadomo kiedy stajemy się głęboko praktykującymi członkami wspólnoty kościelnej. A jedyny wybór jaki nam pozostaje, to wybór kościoła i godzina mszy na którą pójdziemy. Jeśli podczas rozmowy kwalifikacyjnej rekrutujący prezes powołuje się na społeczną naukę kościoła, dobrodziejstwa wolego rynku, niechęć do imigrantów i wyrazi zachwyt reformą Balcerowicza – usłyszysz od kandydata, że Boga nie ma, kapitalizm to najgorszy system, Balcerowicz swoim eksperymentem doprowadził ludzi do skrajnej nędzy, powodując masową skalę samobójstw, no i że imigranci, to tacy sami ludzie jak my? Jak Wam się wydaje, podpisze kontrakt?

Teraz mamy szansę na zbudowanie kraju od nowa. Jeśli chociaż część z tych, którzy uwierzyli w „american dream” otworzy oczy i zorientuje się, że łatwiej zostać milionerem grając w totolotka, niż we wbijany nam slogan „od pucybuta do milionera”, to możemy wybudować całkiem fajny kraj. I przestańmy się wstydzić słów socjalizm, czy walka klas. Najsprytniejszą zagrywką kapitalistów było to, gdy wmówili ludziom, że każdy może zostać milionerem. Wciąż w to

wierzycie?

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info